Nr. 39. **Rok 15.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 23. Września 1848.*

Ułamek z mowy L. Kossutha, naczelnika demokracyi Węgierskiéj, i t. d. — Wiersz: Hymn do Boga. — Klęska powstańców Krakowskich pod Gdowem, i t. d. — Krotoszyn. — Wycieczka nad Wartę (ciąg dalszy). — Treść zeszytu ósmego i dziewiątego, roku trzeciego pisma miesięcznego: Kościół i Szkoła.



Ludwik Kossuth.

Ułamek z mowy L. Kossutha, naczelnika demokracyi Węgierskiéj, wysłowionéj na sejmie Węgierskim w Peszcie r. 1847.

Historya lat blisko tysiąca poczytała Węgierską ślachtę za podstawę narodowego istnienia. Ślachta wprowadziła nazwisko Węgier, nazwisko nowożytnéj narodowości, w złotą księgę Europejskich narodów, w któréj losy dziesięciu wieków niemało innych wykreśliwszy, zachowują jeszcze imię narodu, mężną prawicą Węgierskiéj ślachty wpisane. Ona wojując pierwsza w szeregu staczała bitwy, co utrwaliły byt królestwa, a bywszy przez wieki przednią strażą Europy, mimo wszelakie burze, pośredniczyła w przeniesieniu do Węgier każdéj wielkiéj myśli, nową epokę Europy stanowić mającéj. Że były, że są Węgry, to jest dziełem ślachty. Jéj nigdy nie nałożono do dźwigania jarzma, z jéj ręki nie wysunęła się nigdy złota nić wolności, imię jéj przytwierdzone jest do historycznego pomnika, jakim żadna ślachta stałego lądu szczycić się nie może, przymocowane do wspomnienia: że odkąd Węgry są królestwem, nigdy samowładztwo nieprzeszło tu w prawo. To wszystko jest dziełem Węgierskiéj ślachty. Co za nierozum chciałby zniweczyć jéj takie polityczne stanowisko. My, zaiste nie. Wszakże nam za tym serce u-

derza, aby wolność była tarczą ogółu, aby ile można najliczniejsza powszechność była uczestniczką tego błogosławieństwa. Niemożemy tedy być tyle nierozumni, aby pomnożenie obrońców w twierdzy wolności zaczynać od zmniejszenia ich liczby, od rozbrojenia załogi, co przez dziesięć wieków sama jedna miała dość siły do bronienia warowni. I to wiemy także, że łatwiéj jest wskrzesić istniejące, niżeli stworzyć nowe pierwiastki; dla tego chcemy, aby w publiczném życiu narodu ślachta zachowała to znaczenie, jakie jéj z historyi, z posiadania publicznéj dojźrzałości należy. Ale jakże zachować go może? Czy tym sposobem, że przyśrubowawszy się do wolności od publicznych ciężarów, zajmie stanowisko będące wiecznie w sprzeczności ze sprawiedliwością i z ludem? — Bynajmniéj prześwietne stany! Uznany to pewnik, że gdy przeminie czas tyranii, władza polityczna jedynie na téj drodze zachowaną być może, na jakiéj była nabytą. A czyliż ślachta nabyła swoje prawa, swą polityczną przewagę, przez uwolnienie się od ciężarów publicznych? Gdyby była wstąpiła na tę drogę, nigdyby historya nie była znała jéj nazwiska; albowiem kraj nie udziela władzy politycznym trutniom. — Wiemy to przecie, że pierwotna prostota krajowego gospodarstwa nakładała nieznaczące ciężary. Największą ze wszystkich, a nawet jedyną była potrzeba bronienia ojczyzny. Ślachta nie usuwała się z pod ciężaru, sama jedna dźwigała go na swych barkach, i tylko w potrzebie nadzwyczajnéj przyjmowała uczestnictwo od innych klas narodu. — Byłaż sama wspaniałomyślność tego pobudką? Bynajmniéj. Ślachta poświęcała się w przekonaniu, że władza nie może być udziałem politycznego trutnia. Znoszenie publicznych ciężarów jest ową polityczną wagą, na któréj spoczywa ważność ślachectwa. Taki jest początek jego powstania, takie źródło jego przywilejów. Obecnie zmieniły się okoliczności. Nie wspomnę, jak się zmieniły, abym nie był cierpkim. Tyle jest rzeczą pewną, że usunięcie się od publicznych ciężarów téj klassy, co posiadała najwyższe, a nawet wszystkie krajowe korzyści i zaszczyty, jest rzeczą tak nieznośną, iż na długo pozostać nie może. Byłżeby ten przyjacielem ślachty, coby jéj radził doczekiwać chwili przymusu. Nie w tym jest polityczna roztropność, aby uledz potrzebie; ale w tym, aby ją uprzedzić. — Kto nie słucha głosu przestrogi, tego z nienacka przydybie konieczność, i musi oddać wszystko — za nic. Jeżeli więc chcemy, aby ślachta zachowała swoje znaczenie, i swoje historyczne korzyści, na to mamy sposób jedyny: Niechaj nie usuwa się od ciężarów publicznych, bo to jest krzyczącym zaprzeczeniem wszelkiéj sprawiedliwości. Taka swoboda nie długo utrzymać się może, a ślachta do niéj przyśrubowana, straci i te korzyści, które jéj zachowanemi być mogą. Co do mnie, nie chcę, aby ślachta była zniszczoną. I owszem żądam, aby między współobywatelami kraju była tém, czém jest poczciwy syn pierworodny w rodzeństwie, to jest węgielnym kamieniem domu, aby przewodnicząc w młodszém rodzeństwie, do własnéj siły obudzała zaufanie. Ślachta nie powinna, nie może narodowi panować; niechajże mu przewodniczy. Zaiste! Wysokie to przeznaczenie niechaj go utrzyma. Może to uczynić, jeżeli wróci do zasady, na któréj wyrosła; jeżeli zrzeknie się swobody od ciężarów publicznych. Tylko za taką cenę nabędzie niespożytą nową księgę Sybilli, w któréj stoi zapisano, jakiego sposobu ma się uchwycić ślachta, k'woli odziedziczenia na przyszłość pierworodztwa w narodzie. Jeszcze ostatnią ma do tego sposobność, jeżeli wyrzeknie się swobody od ciężarów publicznych. Teraz będzie to jéj własnym, jéj dobrowolnym czynem, nowym klejnotem w jéj historycznym wieńcu. Ale nowe czynniki stoją już u progu, powstrzymać je niepodobna. W on czas zrzeczenie się téj swobody, zasługa i nadgroda, niebyłaby już wyłączną własnością ślachty...

L. K.

Hymn do Boga.

O Boże Ojców! o Panie! Panie!
Do Ciebie drżące wznieśmy ręce;
Ty usłysz ludu Twego wołanie,
Panie — daj koniec — daj koniec męce!

Spojrzy o Panie, jak Twoje syny
Wróg okrutny ciągle morduje —
Jak je napada — męczy bez winy,
I znów ochydne więzy gotuje.

A my się modlim jękiem i łzami,
A krwią przesiąkły każdy nasz śpiew —
Bo modły bratnia zalewa krew.
Boże zmiłuj się — zmiłuj się nad nami! —

Zobacz, o Panie! jak rozpasany
Żołdak znieważa twoje świątynie,
Jak lży i męczy twoje kapłany,
O Panie, kiedyż ucisk przeminie!

Wybaw Twe dzieci z ciężkiéj niewoli,
Och! bo niewola okropnie gniecie,
A każdy Polak gnębion na świecie,
Umiera ciągle — kona powoli!

Więc Cię błagamy jękiem i łzami,
Bo krwią przesiąkły każdy nasz śpiew,
Bo modły bratnia zalewa krew! —
Boże, zmiłuj się — zmiłuj nad nami.

Ach zostań z nami Wszechmocny Panie!
I pobłogosław oręże Lasze —
Gdy Ty odejdziesz, cóż nam zostanie? —
Ty daj nam Polskę wywalczyć nasze.

Niechaj Cię wzruszą narodu jęki —
Serce rozdarte — piersi zbroczone,
Ach — długich cierpień uchyl zasłonę —
Nie daj nam ginąć wśród strasznéj męki.

Błagamy Ciebie jękiem i łzami,
Bo krwią przesiąkły każdy nasz śpiew,
Bo modły bratnia zalewa krew! —
Boże zmiłuj się — zmiłuj nad nami.

Marya z Gniezna.

Klęska powstańców Krakowskich pod Gdowem, w Bocheńskim cyrkule, w d. 24. Lutego 1846.

Z rozrzewnioném uczuciem serca skreślić tu mi wypada zdarzenie, które się najwięcéj przyłożyło do zupełnego przytłumienia powstania Galicyjskiego w r. 1846. Tém zdarzeniem jest klęska Krakowskich powstańców pod Gdowem, śpieszących w pomoc uciśnionym rodakom w Galicyi. Była to młodzież dziarska, z obliczem tchnącém odwagą i pomstą — parta wzniosłém uczuciem wolności, pędziła w krwawe swych ojców zawody. Niepohamowana chęć walki uniosła ich za daleko, i prędzéj, niż się spodziewali, zaskoczyła ich klęska — ów cios okrutny dla rozwijającéj się siły narodowéj Polskiéj.

Było to w ostatnim tygodniu Karnawału 1846 roku, gdy wojsko Austryackie uciekłszy z Krakowa w Wadowicach stanęło. Wypadek ten zalał powszechną radością wszystkie zakątki dawnéj Polskiéj ziemi. Powstańcy Krakowscy oswobodzeni, z pętów przemocy i gwałtu, zaczęli czynnie i z całym zapałem rozwijać swe siły. Wkrótce słychać było, że na Bochnią napadną, która tymczasem bardzo słabą załogę miała. I rzeczywiście oddział Polski, złożony z 160 pieszych i 120 Krakusów dobrze uzbrojonych, udał się w tym celu natychmiast w pochód. O 9téj godzinie rano 24. Lutego, nie doznawszy nigdzie najmniejszego oporu, przybył do Gdowa. Miasteczko to, właściwie wioska, leży przy połączeniu się dwóch traktów głównych, tylko o jednę stacyę pocztową od Bochni, w nader miłéj dolinie Raby, która często jak gwałtowny potok, przedziwnie kręcemi drogami, bogate w zboże i owoce przerzyna niwy. W Bochni panowała w ów czas największa, jednak radośna trwoga, i powiedziawszy prawdę, wszyscy mieszkańcy byli gotowi powstańców z otwartémi rękami powitać. Poniżéj Gdowa płynie Raba, mająca jedyny tylko przechód, to jest most silnie zbudowany. Rozniosła się wieść wtedy, że powstańcy ów most po przejściu ze szczętem spalić postanowili. Co za płochy zamiar! — jak nierozważne postępowanie. Przez to byliby sobie drogę do Krakowa i wszelką z nim kommunikacyą odcięli, na czém im przecież wiele wtedy zależeć musiało. By więc przed zniszczeniem ów most zabezpieczyć, wojsko cesarskie w bliskości tegoż zarzuciło szańce, obsadzając je licznémi bandami zbiegających się chłopów. Żaden chłop jeszcze dotąd nie odważył się zaczepiać powstańców — taki postrach — taka trwoga ich opanowała. Ci zaś, sama młodzież, bez doświadczenia i znajomości wojennych obrotów, myśląc, że wszystko przed nimi, jak dotąd, korzyć się musi, puścili się w ślepym zapędzie na zgubę. Bo gdyby chcieli byli postępować rozsądnie, powinni byli wywiedzieć się sekretnie o liczbie chłopów, za wałami ukrytych; a poznawszy należycie swoje stanowisko, byliby niezawodnie o ratunku i własném bezpieczeństwie pomyśleli.

W jakiém położeniu się znajdowali, dowodzi następująca okoliczność: Major Benedek przybywszy nagle do Bochni ze Lwowa, widząc wojsko w największym popłochu do wymarszu gotowe, potrafił w jednéj chwili wymową i mocą swego charakteru w strwożonych żołnierzach zapalić odwagę i męstwo. — Wszyscy naraz jednogłośnie postanowili zamiast uciekać przed powstańcami, iść teraz na ich przy-

witanie. Tak więc jedna tylko chwila odmieniła szczęście Krakowiakom, gotując im za kilka minut nieszczęśliwy koniec.

Benedek objąwszy dowództwo nad wojskiem, wyruszył z Bochni z dwiema kompaniami piechoty i dwoma szwadronami kawaleryi w najprędszym pochodzie ku Gdowu. Pokazanie się wojska, ściągnęło zaraz niezliczone gromady chłopów, tak dalece, że na jednego żołnierza stu ich przypadało, w posiłku. Podług tego więc nie 160, ale 2000 mocno uzbrojonych powstańców takiéj przemocy uledzby musiało. Żołnierze byli teraz pewni wygranéj, i z miną wesołą do bitwy spieszyli.

Przyszedłszy pod Gdów, wysłał Benedek szpiegów na zwiady, gdzie i jakie stanowisko powstańcy zajęli. Nasi o 12téj w południe rozgościli się wygodnie, nie przeczuwając żadnéj zdrady lub jakiego nieszczęścia. Ale zaledwie tylko Benedek dowiedział się, że powstańcy w Gdowie obozem stoją, a już ich z liczném wojskiem obskoczył do koła, 150 Krakusów zdążyło jeszcze prędką ucieczką ratować się; lecz reszta 160 młodych bohatérów legło, jak niegdyś 200 walecznych Spartanów pod Termopilami. Każdy się pewnie domyśla, że tu zaszły sceny najsamowolniejszych okrucieństw; gdyż wojsko bez wystrzału, miało tych 160 młodzieńców w swéj mocy, którzy z pokorą i rzewnémi łzami miłosierdzia błagali: Oddaj każdemu swoje, woła znane prawo! Tego i powstańcy bezbronni domagali się tą razą.

Lecz niestety kazał ich wydać Benedek na pastwę zażartemu chłopstwu, i w tych rękach znaleźli nieszczęśliwi śmierć najokropniejszą. — Jako dowódzca wypełnił on tylko swoję powinność — jako bohatér mógł się zasłużyć odwagą i męstwem — ale jako człowiek, zdeptał tym postępkiem najświętsze prawo ludzkości, nie szanował i nie oszczędzał bezbronnego, nieszkodliwego nieprzyjaciela, a w rocznikach dziejów świata, zbrodnia ta ciążyć będzie na nim jak wiecznie niezmazana plama. Z jeńcami rozbrojonymi postępuje się zawsze łaskawie, a jeżeli w jakiéj twierdzy załogę wyciąć wypada, przecież nie umiera żaden ze żołnierzy tak okrutną śmiercią, jak to naszych wojowników spotkało. Pokój ich popiołom! Dzisiaj śmierć tych 160, którzy już nie buntowników, ale bohatérów wolności imię pozyskali, jest nowym tryumfem narodowości Polskiéj — nowym wieńcem na grobie poległych ofiar za swobody swych przodków.

Sądzę, że w Gdowie pomnik ku ich pamiątce stanie, lecz lepszy jeszcze wystawi im historyk, uwieczniwszy ich w dziejach narodów, jako ofiarę téj krwi ślachetnéj Polskiéj, która już w samém poczęciu za wolność poświęconą była, by najpóźniejszym pokoleniem rodaków przekazać, że krew tylu ofiar zgubionych padła na zabójców ramię, za którą się wieki mścić będą.

Krotoszyn.

Krotoszyn leży na krańcu W. Ks. Poznańskiego, na wielkiéj płaszczyźnie, ku granicy Szląskiéj, w dawniejszém Województwie Kaliskiém, powiecie Pyzdrskim; dziś jest miastem powiatowém w departamencie Poznańskim, liczy mieszkańców 6—7 tysięcy; ma trzy kościoły katolickie; jeden ewangielicki, w kształcie rotundy; bóżnice, sąd ziemsko - miejski, ratusz wspaniały, pałac czyli zamek książęcy, szkołę realną, fabrykę cykoryi.

Natura obdarzyła to miasto dosyć przyjemném położeniem; z jednéj strony widać półkołem ponure lasy sosnowe, otaczające je z dala, jakby wieńcem; podniesione pagórki tu i ówdzie uroczo zdobią powierzchnią i przyjemny dają widok; z drugiéj strony ginie oko w przestrzeni dalekiéj, i widać wioski rozrzucone i wznoszące się wieże kościołów. Na wzgórzu z daleka czerwieni się kościół przeszło trzywiekowy w Benicach; daléj Lutogniew, gdzie przed cudownym Najśw. Panny obrazem tysiące nieraz ludzi pociechy szuka w cierpieniach i przygodach, i tęskne dni słodzi modlitwą; z przeciwnéj zaś strony stérczą dwie wieże starożytnego nad jeziorem położonego Kobierna. Drogi zwirowe, jedna ku Wrocławowi, druga w strony Kalisza, po których ciężarem obładowane idą bryki, ciągną się by białe wstęgi wśród urodzajnych pól, bogatémi plony zdobionych.

Miasto samo w sobie nie wiele ma ciekawości starożytnych; czas dumny siłą zniszczenia zatarł wszystkie nieomal pamiątki; częste ognie, napady nieprzyjaciół, napływ Niemieckich chleba szukających wędrowców i ich cy-



Widok miasta Krotoszyna ze strony południowéj.

wilizacya, zupełnie zmieniła postać jego. — Drewniane tylko domki przedmieść w różnych kształtach przypominają wiek zeszły.

Kiedy miasto założone zostało, nie wiadomo, odległéj jednak starożytności sięgać się zdaje. Jest podanie między ludem, iż przed dawnemi laty, a raczéj wieki, na miejscu, gdzie dziś wieś Stary Krotoszyn z drewnianym kościółkiem Maryi Magdaleny w polu, gdzie się wznosi okop Szwedzki, mieszkał rycerz potężny i bogaty Krot imieniem. Ten miał syna, który dzisiejsze miasto założyć miał, ztąd nazwa Krotoszyn, czyli Kroty, (Krota), syn (*). Któż wie, czyli podanie to nie ma związku jakiego z nazwiskiem Krotowskich, których Krotoszyn był kiedyś dziedzictwem, a z którego sławna ta familia w Polsce ród swój wywodzi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wycieczka nad Wartę.

(Ciąg dalszy.)

Podziwiałem rozkład rzuconych niby od niechcenia ręką przyrody partyi drzew, które jakoby w stopniowém oddaleniu różne sprawiały cienie. Już to łódka pędziła wązkim rzeki prądem pod wysokiémi drzewami, które cienią zakrywały całą rzekę. Leciałeś jakoby w matnią z samych drzew i krzaków, z wody wyrastających; nagle umyka się jedna ściana — widok na daleką wstęgę wody dziwną sprawia niespodziankę, rozmykają się brzegi. Tu w pobliżu pasmo wystrzelonych z wody krzaków, bo i gałęzie zwieszone w wodę zakrywają brzegi — za niemi rząd starych drzew, albo mieszanina rozmaitego liścia; w którém niewidzialnych ptaków głosy się odzywają. Tu patrzysz przez niskie krzaki wybrzeża na drugą stronę wykręcającéj się rzeki, gdzie stado gęsi bieleje — gdzie bujne smugi się rozkładają; tam jaśnieje półwysep od czystego piasku, albo przystań w półkole zachęca cię do wygodnego przybicia do brzegu. Znów tu prądowina szumi i wstęgi piany na czarnych rzuca wodach, a nad przepaścią wznosi się urwany stromy brzeg, okryty w części zwieszonémi krzewy, albo bielącemi się korzeniami topolów, z pomiędzy których wody ziemię wypłukały. Gdzieindziéj trzciny powiewają; tam wybrzeże błotne — tam żaby, tam ptastwo wodne się chowa. Znów się kołem wraca i wije bystra Warta, i popłyniesz prawie w to miejsce, któreś przed kwadransem mijał. A widzisz przez niziny i łąki dalekie zagrody i wioski, stada koni i obszar nieba nad sobą. Nie długo i powtórnie ścisną cię brzegi drzewem zarosłe i obejmą cię jakby ścianami zielonemi, a zatrzymać się nie możesz — nigdzie ziemi nie widać przed liśćmi, więc daléj, a daléj wypłynąć z matni na przestwór, gdzie po prawéj smugi, a po lewéj na wysokości piaszczystéj czarny się bór wstęgą ciągnie. Tam karczma, tam przybijemy — może będzie posiłek. Zawodzę czołnem pomiędzy wierzbowe krzaki, umykając z prądu co sił starczy. Otóż jesteśmy. Czołno przodem na piasku spoczywa; my, wziąwszy wiosła ns ramiona jak broń, szybko pod górę przez sadek do izby gościnnéj. Było tam kilku włościan, jeden zaganiacz i jakiś urzędnik, jak się pokazało, wojt, który przywitawszy Xawerego, zaczął nas częstować wódką. Gdym się wymawiał, że wódki nie piję, jako do bractwa trzeźwości należący — on z ironią: „Otóż mi Pruskie dziecko — tu u nas trzeba się i pić nauczyć, bo my tu Polacy; a od wody człowiek tylko słaby.“ — Darmo, utrzymałem się przy swojém; a ponieważ piwa nie było, z suchémi ustami patrzałem na drugich, którzy się pokrzepiali; i po chwili widząc, że na głód lekarstwa nie było, powróciliśmy na łódkę i pojechalim sobie. Zachciało się Xawerkowi zaśpiewać. I to nie źle, kiedy nie ma co robić, ile, że swobodna jazda, powabna okolica, i zbliżanie się pory wieczornéj, do tego zachęcało. Rozstępowało się wybrzeże. Po lewéj stronie piaszczysty wał, borem wieńczony, spuszczał i gubił się w smugach bujną okrytych trawą, w których stada bydła brodziły. Z prawéj strony daleki widok na okolicę Ciążynia; ozdobne starémi drzewami; przed nami wężykowe lustro Warty, i ciemna, krzewiną zarosła wyspa, w śród niebieskiego tła wody; w dali wieże miasta; a nad wszystkiém czyste niebo,

(*) Raczyński w Wspomnieniach Wielko-Pol., str. 287, 288, imie Krotoszyna wedle innego podania wywodzi: „W odległych bardzo czasach miał pod Krotoszynem mieszkać znany w całéj okolicy ślachcic, którego syn w Krotoszynie osiadł. Lud miejscowy Grodem syna nazwał mieszkanie, i ztąd czasem przez zepsute wymawianie utworzyło się dzisiejsze nazwisko Krotoszyna.“ (Gród — Krot.)

po którém roje jaskółek igrały, świergocąc miłą piosenkę. Oprócz pastuszka i jeszcze jakiegoś człowieka, w około nigdzie żywéj duszy nie widać.

Tedy potrójnym głosem z łódki zabrzmiała niezapomniana nigdy a świeża jak majowy listek piosnka, którą każdy Polak nóci. — Rozległy się tony nad wodą i całém wybrzeżem; wzgórze powtarzało w odgłosie niebezpieczne owe słowa: „Jeszcze Polska nie zginęła;“ i wtórowało nam niby całe przyrodzenie — oprócz pana jego, człowieka. Dopiero gdy przebrzmiała nóta, Ignacy, jakoby uderzony myślą nagłą, obejrzał się na wszystkie strony i nas spytał, czy nie masz ludzi w około; czy kto nie słyszał. Biedna Polsko! biedni synowie twoi, co się lękać muszą słowa, śpiewu, głosu, tak miłego dla serca!

Jak to dawno może temu, że na rozkosznych tych brzegach milczenie śmierci osiadło i głucha pustynia otacza rzekę tak powabną. Ludzie oniemieli — lud nie śmie użyć daru mowy, daru śpiewu, lud gnębiony nie śmie weselić się i cieszyć z darów Bożych — despotyzm jak upiór osiadł mu na piersiach, aby wyssać z nich wszelką radość, wszelką pociechę; strach i zgroza jak mary wypuszczone z ciemnych więzień, z lodów Sybirskich, z pieczar Uralskich, osiadły na ciałach cierpiącego ludu, i ciążą brzemieniem żelaznèm na żyłach jego, i gniotą serce i wypędzają rumieniec z oblicza i pogodę z czoła; a uszom zatrwożonym, głos ptasząt zmienia się w dumę żałośną; głos ludzki w pieśń pogrzebową; szelest liścia i trzciny i trawy w skrzypienie wrzeciądzów cytadeli, w chrzęst zamków, w skwierk męczonych pod knutem ofiar — szum wody i wiatru zdaje mu się być nieustającém pasmem westchnień narodu, płaczem ujarzmionéj wolności. Dla tego tak smutno w Polsce, tak głucho w narodzie, który od dawien dawna słynął wesołością, śpiewnością. — Czy nie przejdzie godzina niewoli? Czy na długie czasy jeszcze brzęk kajdan i świst knuta muzyką będzie dla ujarzmionych? Wola Twoja Panie. — Myśli te odjęły mi do reszty wesołość. Milczkiem zawinęliśmy do przystani w śród krzaków wierzbowych, a łódka na piasek wyciągnięta stanęła. Przyszedłszy do domu, już nie podwieczorek, lecz obiad, podwieczorek i kolacyą razem spożywaliśmy, a Xawerek oglądając delikatne ręce swoje, czy nie mają znaków od ciągnienia łódki, zagadywał Ignacego, kiedy znów na szczupaki wyprawę zrobić myśli i czy z bagażem, czy bez niego.

Ignacy splunąwszy, miny nie stracił i odparł: „Wielka historya; święci Apostołowie całą noc łowili na jeziorze i nic nie złapali, a my téż nie lepsi od nich; ale za to jak téż założym drugi raz, to szczupaków, ręczę wam, nie zjecie; już ja się postaram.“ — „Zamówię jutro,“ dodał Xawerek, „brykę furmańską starego Szmula, żebyś nie potrzebował w siatce swojéj ryb dźwigać. — „Dobrze, żeś mi przypomniał siatkę, bo mi w kieszeni zamokła na téj dzisiejszéj opłakanéj wyprawie; ażeby cię mucha ubodła...!“ I porwał się od stołu i rozpostarł siatkę na kołkach do tego urządzonych. „Ale, ale, przypomniałeś mi Xawerku starego Szmula; powiem wam małą awanturkę o nim.“ — My zaraz kładziemy noże i widelce, by z największą uwagą słuchać nowego figla; a on, zażywszy tabaki i pogładziwszy włosy na łysinie, zaczął: „Więc Mości Dobrodzieju, jest to sknera ten Żyd, ale pożycza nie jednemu za dobry procent; przytém natręt wielki. Znali mnie on i drudzy, że ja nie łatwo odmówię, kiedy kto przychodzi i prosi: Mój ty a ty, napisz mi to i owo, to rachunek, to prośbę, to list; czemu nie mam uczynić, kiedy mogę i kiedy mam tyle czasu. Broń Boże, Mości Dobrodzieju, żebym sobie kazał płacić za to, bo dziś nikt nie ma nadto. Ale co się dzieje — mój Szmul téż raz przychodzi i puka; patrzę: Żyd. No, co tam Szmul powie. „Ny, Panie Ignacy, jako sąsiad psichodzę téż, dowiedzieć się, jak się Pan Ignacy ma; bo ja Pana Ignacego bardzo szanuję.“ — „Bóg zapłać, zdrówem z łaski Boga Najwyższego; i cóż tam słychać? kiedy będziecie mieli kuczki? a rabin wasz rychło przybędzie? czy prawda, że mu drugi nos rośnie, nie taki wielki jak go ma, tylko mniejszy, ale jak ćwikła...“ „Ny Panie Ignacy, to bajki — to tak sobie żartują. Ale mam téż wielką prośbę do Pana, już nie śmiem wymówić, so za wielką! Panie Ignacy, ja Pana bardzo szanuję i kocham, Bóg szwadkiem, bo Pan ma takie dobre serce, oh takie tkliwe...“ „No, o tém potém, nie róbcie tyle ceregielów; powiedzcie, czego żądacie odemnie — mam bocherka waszego podać do

chrztu?“ — „Ny, Pan Ignacy zawsze taki żartobliwy.“ — „No, co do djaska, mówcież.“ —

Dopiero mi Żyd się kłania i prosi, żebym mu napisał list, już nie pamiętam jaki, po Niemiecku. Lubo nie tęgi Niemiec ze mnie, ale tyle tom potrafił i napisałem. Od tego czasu często mnie napastował i męczył interesami swémi. Nie żądałem ci nic od niego — ale żeby téż, Mości Dobrodzieju, był okazał wdzięczność jako tako, bo przecież majętny. — Co nie, to nie — choćby mi był przysłał z funt kawy, albo cukru. — Nie. — No, myślę, czekaj — jeno mi jeszcze raz tu przyjdziesz. A trzeba wam wiedzieć, Mości Dobrodzieju, że czytać nie umie i jest ślepy na jedno oko. Jakoż wkrótce przychodzi jednego razu do mnie z krawcem, któremu był pożyczył kilkadziesiąt talarów, i prosi tedy, żebym napisał rewers. Ja, Mości Dobrodzieju, wiedząc, że krawiec także nie umiał pisać, i ledwo swoje nazwisko zgryzmolić potrafił — jakby nic, siadam sobie i pieszo. Skończyłem interes i oddaję mu rewers, wprzódy jednak przeczytać musiałem, com napisał. Słuchał i był kontent z tego; potém poszli sobie. Ja téż wyszedłem. Żyd, jak to Żyd, przychodzi do szwagra swego, i każe mu czytać rewers, dla większéj pewności. Ten patrzy, rzuca na stół i mówi: woß iß dueß? Bierze znów i drugi raz czyta głośno: Ja majster Flic... Szmul słucha i fuka na niego, żeby sobie nie żartował. Ten zapewnia i wskazuje palcem, że tak jest, że to wcale nie jest rewers, że wyraźnie napisano, iż mu nic nie winien. A waj! osłupiał Szmul i bierze Mości Dobrodzieju rewers i ucieka. W rynku widzi parę Żydów i jednego obywatela. Każdemu z nich z osobna daje rewers i każe czytać, i nie wierzy im, że tak napisano na papierze. „Ny, nie żartuj sobie Pan, to nie prawda, Pan Ignacy tak nie mógł pisać.“ Wszystko darmo, jeden w drugiego odczytuję: Ja majster Flic nie winienem ci ślepy Żydzie nic. — Dopiero Mości Dobrodzieju strach o pieniądze. Leci tedy do mnie, nie zastaje — przychodzi drugi raz — ja się schował — i wytrzymałem go do drugiego dnia. Aż tu z krawcem idą i Szmul w pokorę, i prosi i żali się, żem mu takiego figla spłatał i tak go zawstydził przed drugimi. — „A to widzi Szmul,“ — rzeknę — „że byłem bardzo roztargniony, na drugi raz trzeba iść do prawnika, lub pisarza miejskiego, i nie żałować parę groszy dla uniknienia kłopotu. „Ny, już ja będę pamiętał Panie Ignacy na gwiazdkę, tylko mi Pan Ignacy dobrze z łaski swojéj napisz; niech się Pan Ignacy nie gniewa.“ — Od tego czasu nie nachodził mnie więcéj.“

Nie jednę jeszcze anegdotkę opowiedział nam uczciwy Ignacy, nimeśmy sobie powiedzieli dobranoc. (Dalszy ciąg nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: X. *Fr. Wawrowski.*)